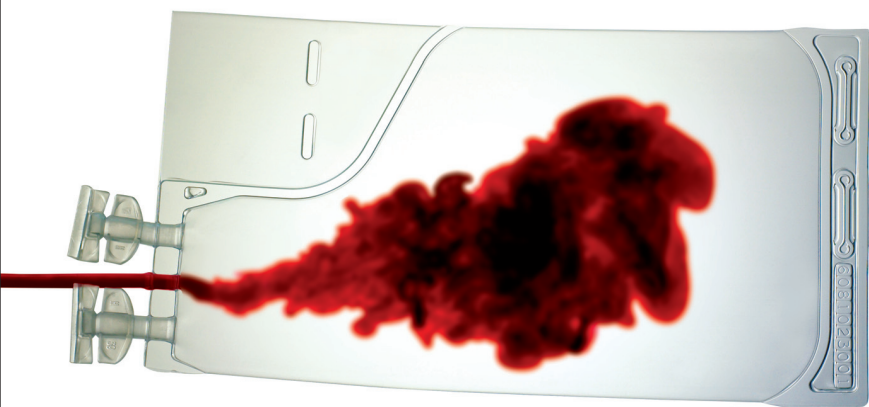


OPĘTANI KRWIĄ SZALEŃCY ŁĄCZĄ SIŁY...

TESS GERRITSEN

Skalpel



Prolog

Widziałem dziś śmierć człowieka.

Wydarzenie było nieoczekiwane, a ja jestem zachwycony, że zdarzyło się w mojej obecności. Większość ekscytujących momentów naszego życia przychodzi niespodziewanie, więc powinniśmy się nauczyć smakować owe rzadkie dreszcze rozkoszy, które przerywają monotonię upływającego czasu. Dni mijają wolno w świecie za kratami, gdzie ludzie są tylko numerami rozróżnianymi nie po nazwiskach ani danych im przez Boga talentach, ale po charakterze ich przestępstw. Jesteśmy podobnie odziani, jemy te same posiłki i czytamy te same wyszmelcowane książki z biblioteki więziennej. Każdy nowy dzień jest podobny do poprzedniego. I nagle jakiś zdumiewający incydent przypomina nam, że w życiu zdarzają się gwałtowne zwroty.

Jest drugi sierpnia. Dzień cudowny, gorący i słoneczny, taki jak lubię. Podczas gdy inni splotają potem i chodzą niemrawo po spacerniaku, jak stado otepiałego bydła, ja stoję pośrodku, z twarzą zwróconą ku słońcu, chłonąc jego promienie jak jaszczurka. Mam zamknięte oczy, więc nie widzę uderzenia

noża, nie widzę, jak człowiek chwieje się i pada na plecy, ale słyszę gwar podnieconych głosów i otwieram oczy.

W rogu placu leży na ziemi krwawiący mężczyzna. Wszyscy pospiesznie oddalają się od tego miejsca, przybierając, jak zawsze w takich wypadkach, miny wyrażające: „nic nie widziałem, niczego nie słyszałem”.

Ja jeden podchodzę do leżącego.

Stoję nad nim przez chwilę, przypatrując mu się. Ma otwarte oczy i widzi mnie, chociaż jestem dla niego tylko ciemną sylwetką na tle rozstłonecznionego nieba. Jest młody, ma jasne włosy i ledwie widoczny puch na brodzie. Otwiera usta, z których wydobywają się różowe pęcherzyki piany. Na jego piersi rozprzestrzenia się plama krwi.

Kłękam przy nim i rozdieram mu koszulę, obnażając ranę, która znajduje się nieco na lewo od mostka. Ostrze noża wniknęło gładko pomiędzy żebrami i z całą pewnością przebiło płuco, a może nawet naruszyło osierdzie. Rana jest śmiertelna, i on o tym wie. Próbuje coś do mnie powiedzieć, porusza bezdźwięcznie wargami, starając się zogniskować wzrok. Chce, żebym się bardziej nad nim pochylił, jak gdybym miał wysłuchać jego przedśmiertnej spowiedzi, ale nie jestem w najmniejszym stopniu zainteresowany tym, co mógłby mi powiedzieć.

Patrzę tylko na jego ranę, na krew.

Jestem obeznany z krwią. Znam jej wszystkie składniki, podziwiałem mnogość odcieni czerwieni, mając do czynienia z niezliczoną ilością próbek do analizy. Umieszczałem próbówki w wirówce, gdzie zamieniała się w dwa kolorowe słupki komórek i surowicę o barwie słomy. Znam jej połysk, jej jedwabistą konsystencję. Lubilem patrzeć, jak po nacięciu wypełza cienkimi strumyczkami ze skóry.

Krew płynie z jego piersi jak święta woda z konsekrowanego

źródła. Przyciskam rękę do rany, krew pokrywa moją dłoń niczym szkarłatna rękawiczka, czuję na skórze jej płynne ciepło. Mężczyzna myśli, że próbuję mu pomóc, widzę w jego oczach isierkę wdzięczności; zapewne nie spotkał w swoim krótkim życiu wielu przejawów życzliwości. Ironia losu sprawia, że mój gest zostaje poczytany jako akt miłosierdzia.

Słyszę z tyłu chrzęst butów i głośy wywrzaskujące rozkazy: „Cofnąć się! Wszyscy do tyłu!”.

Ktoś chwyta mnie za koszulę i podrywa na nogi. Zostaje odrzucony w tył, z dala od umierającego. Zapędzają nas w róg placu, kurz się kłębi, powietrze drży od wrzasków strażników. Narzędzie zbrodni, porzucony nóż, leży na ziemi. Strażnicy zadają pytania, ale nikt niczego nie widział, nikt nic nie wie.

Tak jest zawsze.

Stoję wśród tłumy, mimo to nieco oddalony od innych więźniów, którzy od początku ode mnie stronią. Podnoszę rękę, z której kapią krople, i wdycham delikatny, metaliczny zapach krwi. Potrafię po zapachu poznać, że jest młoda, że wypłynęła z młodego ciała.

Więźniowie patrzą na mnie i odsuwają się jeszcze bardziej. Wiedzą, że jestem inny; zawsze to wyczuwali. Mimo zezwierżenia, jakie wszyscy bez wyjątku prezentują, odnoszą się do mnie nieufnie, ponieważ instynkt podpowiada im, kim jestem i jaki jestem. Patrzą po twarzach, szukając wśród nich bratniej duszy, kogoś opętanego krwią tak jak ja, ale nawet tu, w siedlisku samych potworów, nie znajdują jej.

Wiem, że gdzieś istnieje. Wierzę, że nie jestem jedynym egzemplarzem mojego gatunku na świecie.

Wiem, że gdzieś istnieje i że na mnie czeka.

Rozdział pierwszy

Roilo się od much. Ciało piekło się już od czterech godzin na gorącym chodniku południowego Bostonu, zmieniając się chemicznie w gotowy obiad dla chmar brzęczących insektów. Wprawdzie tułów, a raczej to, co z niego zostało, przykryto płachtą, pozostawało jednak wystarczająco dużo odkrytej tkanki dla padlinożerców. Drobinę mózgu i inne niemożliwe do rozpoznania kawałki leżały wzdłuż ulicy, rozproszone w promieniu trzydziestu stóp. Fragment czaszki wylądował na drugim piętrze, w skrzynce na kwiaty, a zaparkowane samochody były pokryte strzępami ludzkiego mięsa.

Detektyw Jane Rizzoli była zwykle odporna na mdłości, ale nawet ona musiała, zacisnąwszy pięści, odczekać chwilę z zamkniętymi oczami, wściekła na samą siebie za ten moment niedoskonałości. *Nie wolno ci okazać słabości.* Była jedyną kobietą w wydziale zabójstw bostońskiej policji i wiedziała, że jest pod bezustannym ostrzałem bezlitosnych spojrzeń. Każdy błąd, jak i każdy triumf, był zauważany przez wszystkich. Jej partner Barry Frost przed chwilą publicznie zwymiotował śniadanie. Siedział teraz z głową na kolanach w ich

klimatyzowanym wozie, czując się poniżony, i czekał, aż żołądek mu się uspokoï. Jane nie mogła sobie pozwolić na mdości. Była w tym miejscu najbardziej eksponowanym stróżem porządku publicznego. Stojący za policyjną taśmą tłum widzów notował każdy jej ruch, każdy szczegół działania. Od dawna zdawała sobie sprawę, że choć ma trzydzieści cztery lata, wygląda młodziej, więc podświadomie starała się przyswoić sobie atrybuty ważności. Mocne ramiona i umiejętność patrzenia prosto w oczy kompensowały w pewnym stopniu niski wzrost, a wrodzona aktywność pozwalała jej dominować w każdym miejscu operacji policyjnej.

Upał osłabiał determinację. Przybyła na miejsce ubrana w spodnie i marynarkę, schludnie uczesana, teraz była bez marynarki, w pogniecionej bluzce, a jej ciemne włosy sklejone potem zwisały w niechlujnych lokach. Czuła się osaczona ze wszystkich stron panującym smrodem, muchami i prażącym słońcem. Musiała się skupić na mnóstwie szczegółów, a tymczasem oczy widzów, śledzące każdy jej ruch, nie ułatwiały zadania.

Czyjeś podniesione głosy zwróciły jej uwagę. Mężczyzna w koszuli i w krawacie szarpał się z policjantem, chcąc przejść.

— Słuchaj, muszę się dostać na konferencję handlową. Spóźniłem się już o godzinę. Rozciągnąłeś tę cholerną taśmę wokół mojego samochodu, a teraz mi mówisz, że nie mogę odjechać? Moim własnym pieprzonym samochodem?

— To jest miejsce zbrodni, proszę pana.

— To był wypadek!

— Jeszcze tego nie ustaliliśmy.

— Czy potrzeba wam całego dnia, żeby to stwierdzić? Czemu nikomu nie wierzycie? Wszyscy w sąsiedztwie słyszeli, jak to się stało.

Rizzoli podeszła do mężczyzny, którego twarz błyszczała od potu. Było pół do dwunastej. Słońce, prawie w zenicie, przypominało rozżarzone do białości oko.

— Co dokładnie pan usłyszał, proszę pana? — spytała.

Mężczyzna chrząknął.

— To samo, co wszyscy.

— Głośny huk?

— Tak. Mniej więcej o pół do ósmej. Właśnie wyszedłem spod prysznic. Wyjrzałem przez okno i zobaczyłem go, leżącego na chodniku. Tu jest niebezpieczny zakręt. Wariaci za kierownicą wylatują zza niego jak nietoperze z piekła. Musiała go potrącić ciężarówka.

— Zauważył pan jakąś ciężarówkę?

— Nie.

— Słyszał pan, że przejeżdżała?

— Nie.

— I nie widział pan żadnego samochodu?

— Wszystko jedno, co to było, ciężarówka czy jakiś inny samochód. — Wzruszył ramionami. — Potrącił faceta i uciekł.

Wersja była zgodna z relacją kilkorga sąsiadów mężczyzny. Między kwadrans po siódmej a pół do ósmej usłyszeli głuchy łoskot na ulicy. Nikt nie widział zdarzenia. Usłyszeli tylko huk, a potem znaleźli ciało. Rizzoli rozważyła już i odrzuciła założenie, że mężczyzna wyskoczył z okna. Budynki w sąsiedztwie były najwyżej dwupiętrowe, żaden z nich wystarczająco wysoki, żeby dało się wytłumaczyć tak katastrofalne uszkodzenia ciała denata. Nie było również śladów wybuchu, jako ewentualnej przyczyny tak znacznej dezintegracji zwłok.

— Mogę już zabrać mój samochód? — zapytał mężczyzna.

— To tamten zielony ford.

— Ten z resztkami mózgu na bagażniku?

— Tak.

— A jak pan sądzi? — warknęła i poszła do lekarza sądowego, który siedział w kucki na środku ulicy, badając asfalt. — Okoliczni mieszkańcy to cymbały — powiedziała. — Nikt nie okazał współczucia dla ofiary. Nikt również jej nie zna.

Doktor Ashford Tierney nie odwrócił wzroku od jezdni. Skóra jego czaszki, porośnięta rzadkimi kosmykami siwych włosów, lśniła od potu. Wydawał się starszy i bardziej znużony niż zwykle. Podniósł ku niej dłoń w niemej prośbie o pomoc, próbując się dźwignąć. Podała mu rękę, wyczuwając w tym uścisku skrzywienie starych kości i zwyrodniałych stawów. Pochodził z Georgii, był typem starego dżentelmena z południa. Nigdy nie zdołał polubić bostońskiej szorstkości Rizzoli, ona zaś nigdy nie potrafiła traktować z sympatią jego nieelastyczności. Jedyną rzeczą, która ich łączyła, były ludzkie szczątki, przechodzące przez jego stół do sekcji zwłok. A jednak teraz, gdy pomagała mu wstać, zasmuciła ją jego kruchość; przyszedł jej na myśl dziadek, którego była ulubioną wnuczką — może dlatego, że widział w niej swoją własną dumę i nieustępliwość. Przypomniała sobie usiłowania dźwignięcia go z fotela, gdy jego zdrętwiałe skutkiem udaru palce zaciskały się niczym szpony na jej ramieniu. Nawet ludzie tak aktywni jak Aldo Rizzoli bywają z czasem obezwładnieni wskutek osteoporozy. Widziała ten sam rezultat u doktora Tierneya, który trząśł się mimo straszliwego upału, wycierając chusteczką spoczone czoło.

— Doskonały przypadek na zakończenie kariery — powiedział. — Przyjdiesz na przyjęcie z okazji mojego przejścia na emeryturę?

— Na jakie przyjęcie?

— Na to, które ma być dla mnie niespodzianką.

Westchnęła.

— Przyjdę — wygadała się.

— Nareszcie! Ty jedna nigdy nie kręciłaś. Czy to będzie w przyszłym tygodniu?

— Za dwa. Nic o tym nie wiesz, rozumiesz?

— Cieszę się, że mi powiedziałaś. — Spuścił głowę. — Nie lubię być zaskakiwany.

— Co sądzisz o denacie, doktorze? Ktoś go potracił i uciekł?

— Uderzenie nastąpiło w tym miejscu.

Rizzoli spojrzała na rozległą plamę krwi na asfalcie. Potem przeniosła wzrok na przykryty płachtą tułów, który leżał na chodniku, dobre dwanaście stóp od plamy.

— Twierdzisz, że najpierw upadł tutaj, a dopiero potem znalazł się tam? — zapytała.

— Na to wygląda.

— Jakaś cholernie duża ciężarówka, skoro spowodowała taką jatkę.

— To nie była ciężarówka — odparł zagadkowo Tierney. Zaczął iść wzdłuż jezdni, wpatrując się w asfalt.

Rizzoli ruszyła za nim, oganiając się od much. Tierney zatrzymał się trzydzieści stóp dalej i wskazał palcem na szarą kupkę przy krawężniku.

— Kawałek mózgu — oznajmił.

— Nie mogła tego zrobić ciężarówka? — spytała Rizzoli.

— Nie. Ani żaden samochód.

— Więc skąd się wziął ślad opony na koszuli ofiary?

Tierney się wyprostował. Wodził wzrokiem po ulicy, chodnikach, sąsiednich domach.

— Czy nie zauważyłaś niczego szczególnego, pani

detektyw?

— Oprócz martwego faceta, który tam leży bez mózgu?

— Przyjrzyj się miejscu uderzenia. — Tierney wskazał palcem miejsce, nad którym wcześniej ślęczał. — Czy widzisz ułożenie poszczególnych części ciała?

— Tak. Rozleciały się we wszystkie strony od punktu, w którym nastąpił wypadek.

— Brawo!

— Na tej ulicy jest spory ruch — powiedziała Rizzoli. — Samochody wyjeżdżają zza zakrętu z dużą szybkością. Poza tym denat ma na koszuli ślad opony.

— Obejrzyjmy sobie jeszcze raz ten ślad.

Poszli w stronę zwłok. Po drodze dołączył do nich Frost, który w końcu wygramolił się z wozu. Wyglądał nietęgo i miał zawstydzoną minę.

— O rany! — jęknął.

— Już ci lepiej? — spytała.

— Myślisz, że mogę mieć katar żołądka albo coś w tym rodzaju?

— Albo coś w tym rodzaju. — Lubiała Frosta, jego pogodny, nieskomplikowany charakter. Było jej przykro, że jego duma została tak nadszarpnięta. Poklepała go po ramieniu, obdarzając przy tym matczynym uśmiechem. Frost wyzwał w kobietach opiekuńcze gesty, nawet w tak zdecydowanie pozbawionych macierzyńskich instynktów jak Rizzoli.

— Wiesz — powiedział, krocząc z tyłu za nią — ja naprawdę myślę, że to katar...

Doszli do zwłok. Tierney, kucając, stęknął, jego stawy buntowały się przeciw wysiłkowi. Kiedy podniósł płachtę, Frost zbladł i odsunął się o krok. Rizzoli przemogła w sobie chęć zrobienia tego samego.

Tułów był pęknięty na dwie części na wysokości pępka. Górna połowa, odziana w beżową, bawełnianą koszulkę, leżała usytuowana w kierunku ze wschodu na zachód. Dolna, w niebieskich džinsach, leżała wzdłuż osi północ-południe. Obie połowy łączyło tylko kilka nitek skóry i mięśni. Organy wewnętrzne wypłynęły i walały się obok tułowia w postaci mazistej pulpy. Tylne części czaszki zostały roztrzaskane uderzeniem, a mózg rozprysnął się.

— Młody mężczyzna, dobrze odżywiony, hiszpańskiego lub śródziemnomorskiego pochodzenia, wiek od dwudziestu do trzydziestu lat — stwierdził Tierney. — Widać odłamki złamania kręgów piersiowych, żeber, obojczyków i czaszki.

— Czy mogła to spowodować ciężarówka? — zapytała ponownie.

— Ciężarówka mogła doprowadzić do tak rozległych uszkodzeń, jakie tu obserwujemy. — Jego niebieskie oczy patrzyły wyzywająco na Rizzoli. — Ale, o ile wiem, nikt nie słyszał ani nie widział żadnej ciężarówki.

— Na nieszczęście, nie — przyznała.

Wtrącił się Frost, który nareszcie się pozbierał.

— Myślę, że te ślady na koszuli nie pochodzą od opon.

Rizzoli przyjrzała się baczniej czarnym smugom na koszuli denata. Dłonią w rękawiczce dotknęła jednej z nich, a potem obejrzała palec, na którym pozostał czarny ślad. Przez chwilę go oglądała, zastanawiając się nad nowym odkryciem.

— Masz rację — stwierdziła. — To nie jest ślad opony. To jest smar.

Wyprostowała się i spojrzała na ulicę. Nie było widać śladów opon ani odłamków szkła lub plastiku, które niewątpliwie powinny pozostać na jezdni po tak katastrofalnym zderzeniu z ludzkim ciałem.

Zaległa cisza. Patrzyli na siebie, myśląc intensywnie, dopóki nie zaświtało im jedyne wytłumaczenie. Jakby na potwierdzenie ich domysłu, usłyszeli ryk przelatującego odrzutowca. Spojrzawszy w górę, Rizzoli ujrzała 747, który podchodził do lądowania na międzynarodowym lotnisku Logana, znajdującym się pięć mil na północny wschód od miejsca, w którym teraz przebywali.

— Jezu — westchnął Frost, osłaniając ręką oczy przed słońcem. — Spadać z takiej wysokości. Powiedzcie, że był martwy, nim się roztrzaskał.

— Jest taka możliwość — odparł Tierney. — Musiał wypaść w momencie, kiedy luk podwozia otworzył się przed wylądowaniem. Przypuszczam, że leciał nielegalnie.

— Cóż — powiedziała Rizzoli. — Mnóstwo pasażerów na gapę próbuje uciec ze swoich krajów. — Spojrzała na oliwkową cerę mężczyzny. — Pewnie przyleciał skądś z Ameryki Południowej.

— A zatem leciał na wysokości przynajmniej trzydziestu tysięcy stóp — oświadczył Tierney. — Luk podwozia nie jest zabezpieczony przed zmianą ciśnienia. Gapowicz jest narażony na nagłą dekompresję i zmianę temperatury. Nawet w lecie temperatura na tej wysokości jest taka jak w zamrażarce. Po paru godzinach spędzonych w takich warunkach delikwent, prócz tego, że znajdzie się w stanie hipotermii, będzie nieprzytomny z powodu braku tlenu... o ile nie został wcześniej zmiażdżony przez podwozie chowające się w luku po starcie samolotu. Dłuższe przebywanie w luku mogło uśmiercić go wcześniej.

Dźwięk pagera Rizzoli przerwał wykład w momencie, kiedy Tierney zaczął wchodzić w swój profesorski ton. Spojrzała na wyświetlacz, ale numer dzwoniącego nic jej nie mówił. Prefiks

oznaczał Newton. Sięgnęła po swój telefon komórkowy i wystukała ten numer.

— Detektyw Korsak — usłyszała męski głos.

— Nazywam się Rizzoli. Ma pan do mnie jakiś interes?

— Telefonuje pani z komórki?

— Tak.

— Może pani do mnie zadzwonić z linii kablowej?

— Nie w tej chwili. — Nie wiedziała, kim jest detektyw Korsak, poza tym zależało jej, żeby rozmowa trwała jak najkrócej. — Może mi pan powiedzieć, o co chodzi?

Nie odpowiedział od razu. Słyszała w tle czyjeś głosy i trzeszczenie policyjnego walkie-talkie.

— Jestem w Newton, na miejscu zbrodni — odezwał się po chwili. — Myślę, że powinna pani je obejrzeć.

— Potrzebuje pan pomocy bostońskiej policji? Mogę pana skierować do kogoś innego w naszym wydziale.

— Próbowałem się skontaktować z detektywem Moore'em, ale powiedziano mi, że jest na urlopie, więc zatelefonowałem do pani. — Zrobił znaczącą przerwę, po czym dodał: — To sprawa, którą prowadziliście oboje z detektywem Moore'em ubiegłego lata. Pani wie, o czym mówię.

Tym razem ona nie odpowiedziała. Wiedziała dokładnie, do czego nawiązał Korsak. Wspomnienia tamtego śledztwa do tej pory wracały do niej w koszmarnych snach.

— Proszę kontynuować — powiedziała cicho.

— Podać pani adres? — zapytał.

Sięgnęła po swój notes. Zapisawszy adres, rozłączyła się i skupiła uwagę na wykładzie doktora Tierneya.

— Widziałem podobne uszkodzenia ciała u akrobatów powietrznych, którym nie otworzyły się spadochrony. Ciało spadające z tej wysokości osiąga graniczną prędkość ponad

dwustu stóp na godzinę, co powoduje taki stopień dezintegracji, jaki tu obserwujemy.

— Piekielna cena za dostanie się do naszego kraju — skomentował Frost.

Następny odrzutowiec przeleciał nad nimi z rykiem silników, jego cień omiółł ich niczym skrzydła orła.

Rizzoli popatrzyła na niebo. Wyobraziła sobie człowieka spadającego z wysokości tysiąca stóp. Usłyszała świst powietrza w jego uszach, zrazu zimnego, a potem coraz cieplejszego, w miarę zbliżającej się w tempie ekspresu ziemi. Spojrzała na przykryte płachtą szczątki mężczyzny, któremu zamarzył się nowy świat, lepsza przyszłość.

Witaj w Ameryce.

□ □ □

Policjant pilnujący wejścia do domu w Newton był nowicjuszem, więc nie znał Jane Rizzoli. Nie pozwolił jej wejść poza obręb policyjnej taśmy, zwracając się do niej ostrym tonem, współgrającym z jego nowym mundurem. Identyfikator informował, że nazywa się Ridge.

— To jest miejsce zbrodni, proszę pani.

— Nazywam się Rizzoli. Jestem detektywem bostońskiej policji. Przyjechałam zobaczyć się z detektywem Korsakiem.

— Proszę pokazać odznakę.

Nie spodziewała się takiego żądania, więc musiała pogrzebać w torebce, żeby ją znaleźć. W Bostonie znał ją prawie każdy policjant. Okazało się, że wystarczy wyjechać niedaleko poza swój teren, na przedmieście nadzianych mieszkańców, żeby musieć okazać odznakę. Podsunęła mu ją pod nos.

Spojrzał i zaczerwienił się.

— Bardzo mi przykro, proszę pani. To przez tę wścibską

reporterkę, która tak się mądrzyła, że pozwoliłem jej przejść przed paroma minutami. Nie chciałem, żeby to się powtórzyło.

— Jest tam Korsak?

— Tak, proszę pani.

Popatrzyła na rozmaitość marek samochodów zaparkowanych na ulicy. Wśród nich stał biały van z napisem na bocznej ścianie: „Stan Massachusetts. Biuro Koronera”.

— Ile ofiar? — spytała.

— Jedna. Za chwilę ją zabiorą.

Policjant podniósł taśmę przed detektyw Rizzoli, żeby ją wpuścić do frontowego ogrodu. Ptaki ćwierkały, w powietrzu unosił się słodki zapach świeżej trawy. *Nie jesteś już w południowym Bostonie*, pomyślała. Architektura zieleni była doskonała: trawnik z jasnozielonego astro-turfu, otoczony idealnie przyszyżonym, bukszpanowym żywopłotem. Zatrzymała się na ceglany chodniku i spojrzała w górę na linię dachu, prezentującą styl epoki Tudorów. *Imitacja angielskiego dworu*. To nie był dom ani nawet sąsiedztwo, na które mógłby sobie pozwolić uczciwy policjant.

— Cacko, prawda? — zawołał z tyłu Ridge.

— Z czego ten facet żyje?

— Słyszałem, że to był jakiś chirurg.

Chirurg. To słowo miało dla niej szczególne znaczenie. Jego dźwięk działał na nią zawsze jak przebicie lodowatą igłą. Mimo upału teraz również wstrzasnął ją dreszcz. Spojrzawszy na frontowe drzwi, zauważyła, że gałka była pokryta proszkiem do wykrywania odcisków palców. Wzięła głęboki oddech, naciągnęła na dłonie lateksowe rękawiczki, a potem włożyła papierowe ochraniacze na buty.

Wszedłszy do domu, zwróciła uwagę na wypolerowaną, dębową posadzkę i klatkę schodową, wspinającą się na jakąś

niebotyczną wysokość. Witrażowe okno malowało wewnątrz rombami kolorowego światła.

Usłyszała szelest papierowych ochraniaczy i do holu wtoczył się mężczyzna o posturze niedźwiedzia. Miał na sobie formalny strój urzędnika biurowego i starannie zawiązany krawat, ale całość psuły dwie ogromne plamy potu na koszuli w okolicy pach. Podwinięte rękawy odsłaniały muskularne ramiona, porośnięte czarnymi włosami.

— Detektyw Rizzoli? — zapytał.

— We własnej osobie.

Otworzył ramiona, idąc naprzeciw niej, po czym przypomniał sobie, że ma na dłoniach rękawiczki, więc opuścił ręce.

— Jestem Vince Korsak. Przepraszam, że nie mogłem więcej powiedzieć przez telefon, lecz w dzisiejszych czasach każdy ma skaner. Jedna reporterka zdołała już się wedrzeć. Straszna jędba.

— Już mi doniesiono.

— Pewnie się zastanawiasz, po co tu przyjechałaś. Otóż obserwowałem twoje działania w zeszłym roku, no wiesz, te dotyczące morderstw dokonanych przez Chirurga. Pomyślałem sobie, że może chciałabyś rzucić okiem na to, co się tutaj stało.

Zrobiło jej się sucho w ustach.

— Jak to wygląda?

— Ofiara jest w salonie. Doktor Richard Yeager, trzydzieści sześć lat. Chirurg ortopeda. To jego rezydencja.

Popatrzyła na witrażowe okno.

— Wy, chłopcy z Newton, macie przynajmniej do czynienia ze zbrodniami w najlepszym towarzystwie.

— Powinna się nimi zająć policja z Bostonu. W tej okolicy rzadko zdarzają się przestępstwa. Zwłaszcza tak wyrafinowane morderstwa jak to tutaj.

Poprowadził ją przez hol do salonu. Od razu zachwyła się ilością światła słonecznego. Wpadało do wnętrza przez wysoką na dwa piętra ścianę, którą tworzyły sięgające od podłogi do sufitu okna. Mimo krzątającej się licznej ekipy kryminalistycznej pomieszczenie o białych ścianach i lśniącej, drewnianej podłodze wydawało się surowe i przestronne.

Była jeszcze krew. Widziała w życiu wiele miejsc zbrodni, ale za każdym razem na widok krwi doznawała wstrząsu. Na białej ścianie widniała plama przypominająca ogon komety; strużki krwi spływały krętymi liniami na podłogę. Doktor Richard Yeager siedział na podłodze, oparty o ścianę. Przeguby rąk miał związane za plecami taśmą klejącą. Był ubrany tylko w bokserki. Jego nogi, wyciągnięte do przodu, były związane w kostkach tą samą taśmą. Opuszczona na pierś głowa zasłaniała ranę, która była przyczyną śmiertelnego krwotoku, ale Rizzoli nie musiała jej oglądać, żeby się domyślić, że sięgała głęboko, aż do tętnicy szyjnej i tchawicy. Wiedziała z doświadczenia, jakie są skutki takiej rany, jak wyglądają ostatnie momenty życia ofiary: krew tryska z arterii, przedostaje się do tchawicy, płuca zasysają ją z powietrzem i człowiek dusi się własną krwią. Sądząc po szerokich ramionach i muskulaturze, doktor był fizycznie sprawny, z pewnością potrafiłby skutecznie obronić się przed napastnikiem. Mimo to umarł w pozycji poddańczej, ze zwieszoną głową.

Dwaj pracownicy kostnicy stali nad ofiarą, zastanawiając się, jak ulokować na noszach zastygłe w pośmiertnym stężeniu ciało.

— Lekarz sądowy, który przybył o dziesiątej rano, stwierdził obecność plam opadowych, a zwłoki były już zeszywniałe. Orzekł, że zgon nastąpił gdzieś między północą a trzecią nad ranem.

— Kto go znalazł?

— Pielęgniarka z jego gabinetu. Kiedy nie przybył rano do kliniki i nie odpowiadał na telefony, przyjechała do niego do domu. Znalazła go koło dziewiątej rano. Nie wiadomo, co się stało z jego żoną.

Rizzoli spojrzała pytająco na Korsaka.

— Miał żonę?

— Gail Yeager, trzydzieści jeden lat. Zniknęła.

Dreszcz, który poczuła, kiedy stanęła przed drzwiami rezydencji Yeagerów, znów ją przeniknął.

— Została uprowadzona?

— W tej chwili wiadomo tylko, że jej nie ma.

Rizzoli popatrzyła na Richarda Yeagera. Atletyczne ciało doktora klóciło się z widokiem śmierci.

— Opowiedz mi o nich. Jakie było ich małżeństwo?

— Szczęśliwe. Tak ludzie mówią.

— Ludzie zawsze tak mówią.

— W tym wypadku może to być prawdą. Byli małżeństwem od dwóch lat. Rok temu kupili ten dom. Ona jest pielęgniarką w sali operacyjnej szpitala, w którym pracował, więc mieli ten sam krąg przyjaciół i ten sam rozkład zajęć.

— Z tego wynika, że prawie się nie rozstawali.

— Tak. Ja bym chyba oszalał, gdybym bezustannie musiał przebywać z moją żoną, ale oni wydawali się znosić to dobrze. W zeszłym miesiącu wziął dwa tygodnie urlopu, żeby poświęcić cały czas żonie po śmierci jej matki. Jak myślisz, ile może zarobić chirurg ortopeda przez dwa tygodnie? Piętnaście, dwadzieścia tysięcy dolców? Bardzo kosztowna opieka.

— Musiała jej bardzo potrzebować.

Korsak wzruszył ramionami.

— To nie zmienia faktu.

— Więc uważasz, że nie można podejrzewać, iż go porzuciła?

— Jeszcze mniej, niż że go zabiła.

Rizzoli rzuciła okiem na okna pokoju. Drzewa i krzaki całkowicie przesłaniały sąsiednie domy.

— Powiedziałeś, że śmierć nastąpiła między północą a trzecią nad ranem.

— Tak.

— Sąsiedzi niczego nie słyszeli?

— Małżeństwo z domu po lewej stronie przebywa w Paryżu. Sąsiedzi z prawej twardo spali przez całą noc.

— Włamanie?

— Przez okno kuchenne. Zostało wycięte diamentem. Na kwietniku znaleźliśmy odciski butów numer jedenaście i krwawe odciski tych samych butów w tym pokoju. — Wyjął chusteczkę i wytarł pot z czoła. Należał do nieszczęśników, dla których żaden środek przeciwpotny nie był wystarczająco silny. W ciągu zaledwie paru minut ich rozmowy plamy potu na jego koszuli znacznie się powiększyły.

— Okej, odciągnijmy go od ściany — powiedział jeden z pracowników kostnicy. — Połóż go na płachcie.

— Uważaj na jego głowę! Osuwa się!

— Chryste!

Rizzoli i Korsak przyglądali się w milczeniu czynnościom mężczyzn, którzy ułożyli doktora Yeagera bokiem na jednorazowej płachcie. Stężenie pośmiertne usztywniło tułów w pozycji siedzącej, pod kątem dziewięćdziesięciu stopni w stosunku do nóg. Pracownicy kostnicy zastanawiali się, jak umieścić go w tej pozycji na noszach, biorąc pod uwagę jego potężną posturę.

Wzrok Rizzoli padł na mały, biały przedmiot, leżący na

podłodze w miejscu, z którego zabrano zwłoki. Podniósłszy go, stwierdziła, że to okruch porcelany.

— Rozbita filiżanka — powiedział Korsak.

— Co takiego?

— Obok zwłok znaleźliśmy filiżankę i talerzyk. Wyglądało na to, że spadły mu z kolan. Zabraliśmy je, żeby zdjąć odciski palców. — Zauważył jej zagadkowy wzrok i wzruszył ramionami. — Nie pytaj mnie.

— Symboliczny artefakt?

— Albo rytualna herbatka na cześć trupa.

Patrzyła na trzymany w rękawiczce okruch porcelany, zastanawiając się. Nagle poczuła zaciskający się węzeł w żołądku. Dotarła do niej przerażająca świadomość, że gdzieś już się zetknęła z identycznymi okolicznościami. *Przecięcie gardła. Związanie taśmą klejącą. Włamanie nocą przez okno. Ofiara lub ofiary zaskoczone podczas snu.*

I zaginięcie kobiety.

— Gdzie jest sypialnia? — Pytanie było zgodne z logiką, w rzeczywistości jednak nie chciała tam pójść, bała się tam pójść.

— Właśnie miałem cię tam zaprowadzić.

Korytarz prowadzący do sypialni był udekorowany czarno-białymi fotografiami w ramkach. Fotografie różniły się od zdjęć wiszących w większości domów, nie przedstawiały szczerzących zęby ludzi. Były to akty kobiece, anonimowe ciała o wyciemnionych lub odwróconych od kamery twarzach. Kobieta obejmująca drzewo, gładkość jej skóry kontrastująca z szorstką korą. Siedząca kobieta, pochylona do przodu, długie blond włosy opadające kaskadą między nagimi udami. Kobieta próbująca dosięgnąć nieba, ciało spływające potem z wysiłku. Rizzoli zatrzymała się, żeby obejrzeć zdjęcie, które wisiało

przekrzywione.

— Na wszystkich jest ta sama kobieta — powiedziała.

— To ona.

— Żona Yeagera?

— Tak. Czy nie sądzisz, że byli perwersyjni?

Popatrzyła na artystycznie wycieniowane ciało Gail Yeager.

— Nie widzę tu żadnej perwersji. To są piękne zdjęcia.

— Może masz rację. Sypialnia jest tutaj — wskazał na otwarte drzwi.

Stała na progu. Przed sobą miała łoże istic królewskich rozmiarów. Kołdry były odrzucone, jak gdyby śpiący zostali gwałtownie wyrwani ze snu. Na puszystym różowym dywanie widać było wyraźnie dwie wygładzone ścieżki, prowadzące od łóżka do progu.

— Zostali wywleczeni z łóżka — zauważyła Rizzoli.

Korsak skinął głową.

— To musiało tak się potoczyć. Morderca zaskakuje ich w łóżku. Jakimś sposobem zmusza do posłuszeństwa, łączy im przeguby rąk i kostki nóg i ciągnie po dywanie na korytarz, gdzie podłoga jest już drewniana.

Zdumiewały ją działania mordercy. Wyobraziła sobie, że stoi w tym samym miejscu co ona, przypatrując się śpiącej parze. Wysoko nad łóżkiem niezastłonięte okno wpuszcza dość światła, żeby odróżnić mężczyznę od kobiety. Podchodzi najpierw do doktora Yeagera. To logiczne. W pierwszej kolejności powinien unieszkodliwić mężczyznę. Kobieta zostawia na później.

Tyle potrafiła sobie wyobrazić. Morderca skrada się ku mężczyźnie i atakuje go. Nie mogła zrozumieć dalszego ciągu jego działania.

— W jakim celu ich przenosił? — zastanawiała się głośno.

— Dlaczego nie zabił doktora Yeagera na miejscu? Po co wyciągnął ich z sypialni?

— Nie wiem. — Korsak wskazał na wnętrze pomieszczenia.

— Wszystko zostało sfotografowane. Możesz wejść.

Weszła niechętnie, ostrożnie okrażając ślady wleczenia małżonków po dywanie, i zbliżyła się do łóżka. Krwi nie było ani na prześcieradle, ani na kołdrach. Na jednej z poduszek pozostał kosmyk długich, jasnych włosów. *Po tej stronie spała pani Yeager*, pomyślała. Stojąca na toalecie, oprawiona w ramkę fotografia Yeagerów potwierdzała, że Gail była blondynką. W dodatku piękną, o jasnobłękitnych oczach i głębokiej opaleniznie, usianej drobnymi piegami. Obejmujący ją ramieniem mąż promieniował zadowoleniem, świadomy swojej imponującej postury. Nie wyglądał na człowieka, który by się spodziewał, że zakończy życie w samej bieliźnie, ze związanymi rękami i nogami.

— Tam, na krześle — powiedział Korsak.

— Co?

— Spójrz na nie.

Odwróciła głowę w tamtą stronę. W rogu sypialni stało antyczne krzesło ze szczebelkowym oparciem. Na siedzeniu leżała złożona koszula nocna. Zbliżywszy się, zobaczyła na kremowym atłasie czerwone plamy.

Poczuła, że jeżą jej się włosy na karku. Przez kilka sekund nie mogła oddychać.

Uniosła róg koszuli. Pod spodem były dalsze plamy.

— Nie wiemy, czyja to krew — stwierdził Korsak. — Może doktora Yeagera, a może jego żony.

— Koszula została poplamiona, zanim ją złożył.

— Ale w tym pokoju nie ma żadnych innych śladów krwi, co oznacza, że została poplamiona gdzieś indziej i dopiero

potem przyniesiona do sypialni. Złożył ją starannie i umieścił na krześle, jakby zostawiał prezent na pożegnanie. — Zrobił przerwę. — Czy to ci coś mówi?

Przełknęła ślinę.

— Wiesz dobrze, że tak.

— Wygląda na podpis twojego rzezimieszka.

— Nie, to ktoś inny. Wszystko wygląda inaczej. Chirurg nigdy nie atakował małżeństw.

— Złożona koszula nocna. Ofiary zaskoczone w łóżku. Wykorzystanie taśmy klejącej do ich skrepowania.

— Warren Hoyt wybierał samotne kobiety. Ofiary, nad którymi mógł szybko zapanować.

— Zwróć uwagę na podobieństwa! Twierdzą, że mamy do czynienia z naśladowcą. Z jakimś świrem, który naczytał się o Chirurgu.

Rizzoli patrzyła na koszulę nocną, przypominając sobie tamte sypialnie, tamte sceny śmierci. To się działo przed rokiem, owego niezwykle gorącego lata — takiego jak tegoroczne — kiedy kobiety spały przy otwartych oknach, a człowiek nazwiskiem Warren Hoyt zakradał się do ich domów. Przynosił z sobą szaleństwo i skalpel, za pomocą którego popełniał rytualne zbrodnie. Jego ofiary były przytomne i czuły każde cięcie ostrza. Rizzoli spoglądała na koszulę, a w wyobraźni widziała popolitą, niczym się niewyróżniającą twarz Hoyta; twarz, która do tej pory wraca do niej w koszmarnych snach.

Ale to nie jego dzieło. Warren Hoyt siedzi zamknięty w miejscu, z którego nie może uciec. Wiem to, bo sama go tam wpakowałam.

— „Boston Globe” opisał każdy soczysty szczegół — powiedział Korsak. — Twój chłopak znalazł się nawet na

łamach „New York Timesa”. Nasz morderca stara się go naśladować.

— Nie. Ten robi rzeczy, których nigdy nie robił Hoyt. Wyciąga swoje ofiary z łóżka i przenosi do innego pokoju. Opiera mężczyznę w pozycji siedzącej o ścianę, a potem podrzyna mu gardło. To wygląda na egzekucję albo część rytuału. Pozostaje kobieta. Mężczyznę zabija, ale co robi z kobietą? — Umilkła, bo nagle przypomniała sobie okrucieństwo porcelany na podłodze. Rozbitą filiżankę. Myśl dotycząca znaczenia tego szczegółu zmroziła ją niczym podmuch lodowatego wiatru.

Nie mówiąc nic więcej, wyszła z sypialni i wróciła do salonu. Podeszła do miejsca, w którym znaleziono zwłoki doktora. Ze wzrokiem utkwionym w podłogę zataczała coraz szersze półkola, zwracając uwagę na układ kropel krwi.

— Rizzoli? — odezwał się Korsak.

Odwróciła się w stronę okien, osłepiona blaskiem słońca.

— Teraz jest za jasno. Za dużo okien, żeby dało się je wszystkie zasłonić. Musimy tu wrócić wieczorem.

— Zamierzasz użyć Luma-lite?

— Potrzebne nam będzie ultrafioletowe światło.

— Czego się spodziewasz?

Wskazała na ścianę.

— Tam siedział doktor Yeager, zanim umarł. Nasz sprawca przywłókł go z sypialni. Oparł o ścianę, z twarzą skierowaną ku środkowi pokoju.

— Tak było.

— Po co go tam posadził? Po co zadał sobie trud ciągnięcia ofiary, która żyła? Musiał być jakiś powód.

— Jaki?

— Doktor został tutaj przywleczony, żeby być świadkiem

czegoś, co miało się zdarzyć w tym pokoju.

Wyraz przerażenia na twarzy Korsaka świadczył, że w końcu zrozumiał. Spojrzał na miejsce, gdzie związany doktor Yeager grał rolę jedyne widza w teatrze horroru.

— Jezu! — jęknął. — Pani Yeager.